

0 57579  
42734

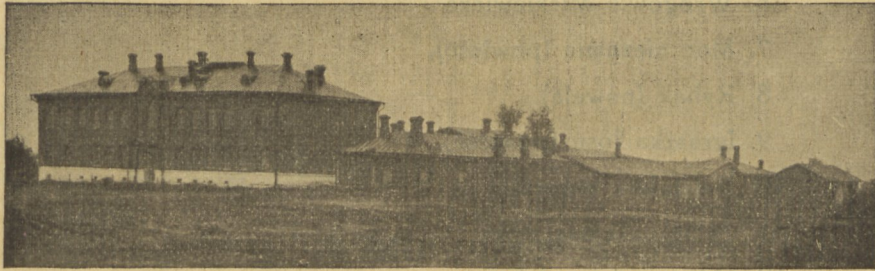
Rok III.

DZISNA.

Nr. 1-2.

# NASZ GŁOS

Miesięcznik Naukowo - literacki i społeczny.  
Organ Młodzieży Szkolnej.



Numer podwójny.

„Stała przedemną w upiornej postaci straszna  
beznadziejność i nędza świadomości, że się jest  
niewolnikiem“.

TADEUSZ STANIEWSKI.

(Ze wspomnień z lat szkolnych w Łucku).

ROK 1932

Cena 70 gr.

---

---

## Treść numeru wrześniowego i październikowego:

1. Dr. Tadeusz Staniewski.
2. Głos prasy.
3. Z pism drukowanych dr. T. Staniewskiego.
4. Bóg literatury.
5. Wieś na kresach wschodnich.
6. Wrogowie Mickiewicza.
7. Moc nieznaną (powieść).
8. Rybak (nowela).
9. Igraszka losu (powieść).
10. Kalendarz reportera
11. Życie organizacyjne.
12. Odpowiedzi redakcji.

---

---

**Redakcja i Administracja czynna we wtorki od godz. 17-18**

---

---

**OD REDAKCJI:** Z przyczyn od nas niezależnych numer podwójny „Naszego Głosu“ za maj-czerwiec nie ukazał się. W obecnym numerze zdwojonym za wrzesień-październik wydrukowano szereg prac wchodzących w treść numeru 9-10 „Naszego Głosu“, który nie został wydany.

---

---

# NASZ GŁOS

≡ MIESIĘCZNIK ≡

SPOŁECZNO-NAUKOWY I LITERACKI.

---

---

15378  
131957

Czcigodnemu

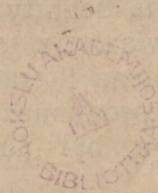
Panu Dyrektorowi

Doktorowi Tadeuszowi Staniewskiemu  
z okazji DZIESIĘCIOLECIA istnienia dzi-  
nieńskiego gimnazjum państwowego im. ks.  
Grzegorza Piramowicza,

składa wyrazy hołdu i bezgranicznej  
wdzięczności

— za kulturalną pracę na najdal-  
szych Kresach Rzeczypospolitej oraz  
za pełen znoju patriotyczny trud. —

Redakcja „NASZEGO GŁOSU“



## Dr. TADEUSZ STANIEWSKI.

(zarys biograficzny)

Redakcji „Naszego Głosu“ udało się uzyskać szereg cennych wiadomości, dotyczących się życiorysu dyr. Staniewskiego, dzielimy się więc chętnie z naszymi Czytelnikami danemi do „zarysu biograficznego“, na szpaltach naszego pisemka.

Urodzony w Błudowie, na Wołyniu w roku 1886 pierwsze lata szkolne spędził na wsi, w domu oraz w szkółce parafjalnej, studja gimnazjalne odbył w gimnazjum rosyjskiem w Łucku. O tych czasach wiele materiału oświatowo-obyczajowego dla dziejów szkolnictwa rosyjskiego w t, zw. ziemiach zabranych znajdzie ciekawy czytelnik w osobnej broszurze, wydanej w Dziśnie w r. 1930 p. n. „W szponach dwugłowego orła“ pióra dyr. Staniewskiego.

Oto wyjątki z tychże wspomnień:

„W pierwszych latach dzieciństwa mego, które spędzałem w miejscu urodzenia... mowa polska była już wyparta ze wsząd: z urzędu, sądu, szkoły. Zajmując w stosunku do coraz to więcej wzmagających się poczynań rusyfikatorskich moskiewskiego rządu, stanowisko wyłącznie obronne, traciła ona grunt na terenie miast i miasteczek, a utrzymywała się nieco silniej po wsiach i osadach szlacheckich, rozsianych po ostępach Polesia, gdzie pozbawiona szkoły uboga brać szaraczkowa tonęła w prostracji ducha i obskurantyzmie“.

A dalej:

„Urodzony w sąsiedztwie ludności ukraińskiej, lecz w otoczeniu polskiem, syn Polaka i „opornej“ (po ojcu) zaledwo w dziesiątym roku życia dowiedziałem się, że przypadł mi w udziale zaszczyt... należenia do narodowości panującej i że nie wolno mi być Polakiem“.

Nieco niżej czytamy:

„Gdy rozpocząłem studja (1898 r.) gimnazjum mieściło się w gmachu poklasztornym, otaczającym półkolem Sobór... Z rokiem szkolnym 1899/1900 została definitywnie liczba sześciu klas progimnazjum i w związku z tem na wielkiej, podłużnej tablicy zajaśniał złotemi literami wymalowany napis: „Łuckaja szestiklasnaja progimnazja.“ Dyrektorem gimnazjum łuckiego naonczas był Orda Łukasz

„człowiek łagodny i dobry,“ przytem „wrażliwy i ruchliwy“, brunet o „sympatycznej powierzchowności“—ale niesłuchanie roztargniony, w ocenach postępów naukowych bezkrytyczny „sypiąc nieraz największym nieponiom tłuste piątki i vice versa „pałki“ uczniom zupełnie dobrym!“

Iwan Iwanowicz Komisarzewski był pedagogiem o innym pokroju duszy—duszy „obrusetiela“, dla Polaków groźny i niebezpieczny. Człowiek ten młody, zlekka posiwiwały, o głowie wielkiej, kańciastej miał twarz pokrytą zmarszczkami z brodą rudawą, przystrzyżoną a la Mefisto. Siał Komisarzewski lęk nieopisany, w oczach drgała u niego ironja i szyderstwo. Jego lekcje historii i geografji odbywały się śród „niezamąconej ciszy,“ a słowa pedagoga zgrzytliwe „jak cięte szkło“ były niemal uosobieniem „samodzierżawnej Rosji.“

Metoda naukowa wówczas była werbalna, pamięciowa i jak sam dyr. Staniewski wyraża się w swych wspomnieniach—„paznokciowa“. Umyślnie zatrzymaliśmy się przy latach szkolnych dyr. Staniewskiego, by dać możność samemu Uczniowi szkoły rosyjskiej w Łucku—mówić o sobie..

Przeżycia te są charakterystyczne i mogą służyć za groźne memento: oto jak strasznie wychowuje się dziecko w szkole, która deprawuje charaktery, naucza w duchu obcym religijnie, obyczajowo i kulturalnie, ile jadu nienawiści i tajonej złości sieje taki nauczyciel, który nie stara się rozumieć potrzeb duszy młodzieńca, wreszcie ile chorobliwego wprost nastroju jest w takiej klasie, śród młodzieży drżącej z lęku i niemej z przerażenia na widok pedagoga, który ironją i szyderstwem stara się opluć czystą, niewinną duszę latorośli, dopiero budzącej się do życia wewnętrznego, życia w światku „własnej myśli, uczucia i idei“. I tu tkwi moment dydaktyczny we „wspomnieniach“ dyr. Staniewskiego.

W r. 1902 młody męczennik wychowania kresowo-rosyjskiego na Wołyniu ratuje się ucieczką ze szpon dwugłowego orła—ucieczką do konstytucyjnego Krakowa, w ramach galicyjskiego samorządu. Dzięki życzliwej protekcji dr. Leona Kulczyńskiego został uchodźca ze szkoły rosyjskiej zaliczony w poczet uczniów gimnazjum św. Anny do końca r. sz. 1902/3. — jako nadzwyczajny słuchacz.

W gimnazjum pracując w tajnej organizacji uczniowskiej niepodległościowej kierował nowoprzyjęty uczeń w r. 1905/6 klasą piątą, do której m. i. należał znany dziś działacz społeczny i polityczny, wojewoda śląski, dr. Michał Grażyński.

W oddziale b.—do którego nasz Wołynianin należał do najlepszych uczniów zaliczał się obecny kurator poznańskiego okręgu szkolnego dr. Michał Pollak. W klasie dyr. Staniewski, jako uczeń cieszył się sławą „filozofa“ i historyka, opanowawszy doskonale język polski i niemiecki.

Jako student filozofji został wpisany od księgi uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego w r. 1906, słuchając wykładów prof. Piekosińskiego, Zakrzewskiego Wincentego, Czerbaka, Krzyżanowskiego St.—z historyków; Szwarzenberg—Czernego, geografa; Straszewskiego Heinricha, Garbowskiego, ks. Pawlickiego—z filozofów; a nadto przygodnie: literatury i językoznawstwa (Tarnowski, Łoś, Morawski) Pozatem, cztery lata pracy w konserwatorjum pedagogicznym dr. L. Kulczyńskiego. Dr. Staniewski doktoryzował się w r. 1910 z filozofji ścisłej na podstawie rozprawy n. t. „Teorja poznania u Fryderyka Langego i Liebmana“. Część tej rozprawy p. t. „Teorja poznania u Fryderyka Langego“ została wydana w r. 1910 w „Szkicach filozoficznych“ wydanych nakładem koła filozoficznego U. U. J. w Krakowie z okazji jubileuszu dr. M. Straszewskiego. Na Uniwersytecie do najwybitniejszych kolegów swoich zalicza dyr. Staniewski: J. Szymańskiego, dr. Łęckiego i prof. Pigonia, oraz przedwcześnie zgasłego Berezynskiego, zapowiadającego się świetnie. Z filozofów-rówieśników wymienić należy: Fl. Znanieckiego, obecnie prof. Uniwersytetu Poznańskiego i Nowoyorskiego.

Dyr. Staniewski pracował pewien czas w Eleuterji a w kole filozoficznym w ciągu kilku miesięcy był prezesem.

W 1911 został wychowanek krakowskiej Alma Mater nauczycielem (tymczasowym) historii i geografji w I gimnazjum w Tarnopolu. Tu był nasz Dyrektor członkiem przez trzy lata T. S. L., będąc w styczności ze Stanisławem Srokowskim, działaczem oświatowym.

Z okazji 100 letniej rocznicy wieszczą opracował dr. Staniewski filozofję Krasińskiego w r. 1912. Wobec zbliżającej

się Burzy Dziejowej patryjota — wołynianin jest przez rok członkiem „wojskowej drużyny Sokolej“. Wojna zaskoczyła Staniewskiego w Zakopanem, skąd po przybyciu do Krakowa zapisał się do Strzelca, a następnie do Legjonów (Brygady Karpackiej). Jako żołnierz II i III pułku L. polskich brał udział dyr. Staniewski w szeregu walk w okolicach Stanisławowa oraz na Węgrzech. Po bitwie Kirlibabskiej został zwolniony z powodu upadku sił. Przez pół roku jako renkonwalescent bawi w Łukacowicach na Morawach. Po powrocie do Krakowa otrzymuje posadę nauczyciela w Myślenicach pod Krakowem, gdzie pracował do końca paźdz. 1918 r. biorąc udział w Krak. Ligi Niepodległości i w P.O.W. W listopadzie, grudniu i styczniu 1918—1919 r. uczestniczy bojowiec o niepodległość w oddziałach ochotniczych z Myślenic i Górnejwsi w bojach z Ukraińcami o Lwów.

W r. 1919 po zawarciu związków małżeńskich z p. Heleną z Łukasów przenosi się dyr. Staniewski do słynnej Wrześni w Wielkopolsce. Podczas nawały bolszewickiej pełnił funkcję referenta oświatowego. Tutaj dyr. Staniewski zebrał materiały do pracy p. t. „Dni strajku wrzesińskiego“.

Po oswobodzeniu Wołynia wraca nasz dyrektor do stron rodzinnych; krótko trwała praca na stanowisku Kierownika Gimnazjum Państwowego w Łucku i po ciężkich przejściach we wrześniu 1921 r. przyjeżdża dyr. Staniewski do Dżisny.

W Dziśnię, mając korzystne warunki pracy zorganizował Ideowiec nasz „zakład naukowo-wychowawczy“ od „podstaw“, dając wspaniały obraz wzorowego pod każdym względem gimnazjum na pół-wschodnich kresach.

Mając przed sobą ugory, piaski i tradycje rosyjskiego panowania Uparty Niepodległościowiec i Gorący Patryjota-wołynianin zabrał się do twórczej pracy, dając po 10 latach wzorowej gospodarki przykład żywy i uderzający w oczy, co można stworzyć entuzjazmem, inicjatywą i radosną pracą dla Jutra Polski Wyzwolonej.

Za pracę swą otrzymał dyr. Staniewski odznaczenia, a mianowicie w 1928 Złoty Krzyż Zasługi w 1931-Krzyż Niepodl.

Niech życie dyr. Staniewskiego będzie dla nas, młodzieży trwałym przykładem do naśladowania, a w sercach

naszych żywy obraz pracy kulturalno—oświatowej Naszego Przewodnika duchowego niechaj wyrzycie złotymi głoskami wieczysty napis: *E c c e H o m o!*

**J. H.**

## **GŁOS PRASY**

(o zasługach dr. Tadeusza Staniewskiego w Dziśnie)

Z art. z „Rzeczypospolitej“ (1923) p. t. :

„Szkoła polska w Wileńszczyźnie“

... Kiedyś, gdy znajdzie się dziejopis naszej walki o szkołę polską na kresach, pozna szersza publiczność szczegóły tych zabiegów, starań, przeszkód i wszelkiego rodzaju trudności, zwłaszcza komunikacyjnych, jakie trzeba było zwalczyć, aby przy szczupłym składzie pracowników kuratorium nowogródzkiego (zaledwie 3 osoby), uruchomić szkołę polską w tak srodze wyniszczonym obszarze nad Dźwiną, gdzie przytem wpływy russyfikacyjne przetrwały aż do czasów ostatnich, przetrwały nawet najazd bolszewicki. Z prawdziwą dumą i otuchą możemy jednak patrzeć na fakt, że u krańca północnych naszych granic, nad daleką Dźwiną, czynne jest polskie gimnazjum państwowe pod kierownictwem małopolanina, dr. Staniewskiego i liczy 280 uczniów. W dalekiej Dziśnie! Kto z nas kiedy myślał o tem, iż zabłyśnie tam światło polskiej kultury i nauki, tam, nad Dźwiną, na której drugim brzegu z zazdrością spogląda ku nam, sztyldwach-czerwonogwardzista! A wokół tej placówki szkoły i szkółki, czynne sprawne i użyteczne...

*Fryderyk Dąbrowski.*

**Z pism dyr. dr. Tadeusza Staniewskiego ogłoszonych  
drukiem.**

... Z utworów treści filozoficznej, a pisanych wierszem na osobliwe wyszczególnienie (prócz dotychczas rozbieganych) zasługuje Psalm wiary, w którym—możliwie—związle usiłował poeta wyłożyć



swe Credo filozof.-religijne.

Pod względem swej formy zewnętrznej, będąc najbardziej zbliżonym do Syna Cieniów zawiera ten utwór myśli, których napróżno chcieliśmy szukać czyto w Synu Cieniów, czy też w któremkolwiek innym dziele Krasińskiego. Nie wynika stąd bynajmniej, aby myślenie były całkowicie wysnute z głębin twórczej intuicji autora, aby zatem stanowiły jego niepodzielną własność, były oryginalne.

Owszem, przeciwnie, mieszczą i one niemało obcych reminiscencyj, które jednak w części pochodzą, jak się zdaje z dotychczas nieuwzględnionych źródeł. Mam tu na myśli wpływ Nowalisa, odzwierciedlający się w pierwszych paru strofach wiersza. Nowalis, którego dzieło Krasiński musiał czytywać z bardzo wielkiem zainteresowaniem. Nie schodząc z dualistycznego stanowiska, na którym jak wiemy od dłuższego czasu wytrwać był postanowił, usiłuje Krasiński cały swój dualizm sprowadzić do formuły możliwie prostej doskonałej. Materya i ciało, które poczytywał zresztą nie tak dawno za *conditio sine qua non* ducha i duszy, znikają gdzieś niepowrotnie (co zresztą i w Traktacie zaakcentowanem jest silnie) ulatują w jakąś nicość i ustępują miejsca duchowości, ujawniające rozmaite stadya swego rozwoju. „Ciało i dusza“ są podporządkowane „Duchowi“, stanowiąc jego zewnętrzną dekorację, parę skrzydeł, któremi Czasu i przestrzeni sięga Duch... (ten) rozcina w postępowym locie. Znaczący to innemi słowy, że gdy „ciała i dusze ludzkie“ jeszcze się obracają w granicach przestrzenno-czasowych-Duch absolutny wzbija się ponad materję i niższe regiony duchowości..

...Jak z tego zestawienia widzimy elementy składowe świata u Krasińskiego i Nowalisa są identyczne. Różnica zaś między jednym a drugim leży w zapatrywaniach na wzajemny układ i ustosunkowanie się tych właśnie elementów. Podczas gdy Krasiński mianowicie Duchowi absolutnemu podporządkowuje wszelkie inne stosunki-Nowalis usiłuje zachować między nimi pewnego rodzaju równowagę i układa je obok siebie. Nie wdając się w ocenę tych obu stanowisk, nie rostrzygając, które z nich ma więcej lub mniej danych za sobą-podnieść tylko jeszcze musimy, że prawdopodobnie w Psalmie wiary jakiegoś „przewyciężenia“ Nowalisa, lecz pogodzenie wpływu nowego z dawniejszemi reminiscencjami.

W dalszej części wiersza rozwija Krasiński zresztą dobrze już nam znane poglądy. Bóg-to cel, to meta ostateczna, do której wszystko zmierza, ale której nie osiągnie nigdy. Jest on wyrazem najogólniejszym wszelkich antinomii (sprzeczności) natury, Trójcą

Świątą, formułą wszystkiego i symbolem. A jednak nie jest on Panteos wszechświata, bo jest on również „panteizmem”. (To ostatnie oznajmienie poety ma odgrywać rolę bardzo poważnego zarzutu przeciwko panteizmowi, choć jest ono w swej istocie tylko dyalektycznym koziołkiem!...).

Wiara w możliwość obcowania za życia z duszami zmarłych, w ich materializację dokonywaną za pośrednictwem medyków, zyskuje dla siebie prawa obywatelstwa w myśli Krasińskiego. Opowiada on między innymi (w r. 1857), że jednemu z pośród znajomych jego ukazały się podczas nocy spędzonej z medyum „duchy dwóch osób ukochanych z zaświata”.

W ostatnich czasach, używając eteru, notował w swej pamięci szeregi wrażeń, odbiegających od codziennego trybu życia, a następnie (per analogiam) usiłował wyprowadzać wnioski co do stanowiska jaźni ludzkiej w życiu przyszłym.

Wiedza-zdaniem jego-to pewien rodzaj zdolności promieniotwórczej tej jaźni. Z chwilą gdy zdolność ta zanika-przestaje wiedza udzielać się sobie i innym (zachodzić tu ma podobny stosunek jak słońca świecącego do tego, które już swą zdolność promieniotwórczą utraciło, a jednak nie przestaje istnieć w przestrzeni).

Jaźń jako osobistość jest już z natury rzeczy niezniszczalną i nie podlega kaprysom śmierci, natomiast dusza, po oderwaniu się od ciała „na zewnątrz siebie”, a jednak wie, że jest boską i nieśmiertelną.

Pozostaje jeszcze odpowiedź na pytanie, jak próbował Zygmunt Krasiński tłumaczyć zjawiska medyumaticzne. Otóż-sądził on, że zarówno w sferach między planetarnych jak i w organizacjach poszczególnych istot mieści się, bliżej zresztą niedający się oznaczyć płyn X, odgrywający rolę pośredniczą między ciałem a duszą. Stosownie do potrzeby może on się udzielać to tej to tamtej stronie. Dzięki jemu przychodzi w danej chwili do materializacji myśli czystej, która wówczas zamienia się w „kształt i obraz”.

Nawiasowo dodam, że i dzisiejsi spirytyści zoczyli niezbyt daleko z drogi na której znalazł się nasz poeta, określając mianem ciała astralnego płyn X.

\*

\*

\*

Rekapitulując dotychczasowe nasze uwagi nad filozofją Zygmunta Krasińskiego, dochodzimy do wniosków następujących: a) Filozofja ta

nie ma charakteru wielkiej syntezy i nie posiada cech wogóle systemu; b) nie jest zbyt oryginalną, nosi na sobie ślady różnych wpływów zwłaszcza idealizmu niemieckiego; c) Cała twórczość filozoficzna poety rozpada się na trzy okresy.

W okresie pierwszym przeważa u niego pogląd na świat dualistyczny; w drugim skłania się więcej ku spirytualizmowi i zwraca się ku problemom historjoficznym; w trzecim, a zarazem ostatnim, składa hołd mistycyzmowi. Jako za mało oryginalny do wielkich tytanów myśli nie należy, mimo to w dziejach myśli polskiej zajmuje zwłaszcza jako poeta, bardzo poważne stanowisko.

### „Księga Pamiątkowa ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Zyg. Krasińskiego“.

Z pracy dr. T. Staniewskiego p. t. „Filozofja  
Zygmunta Krasińskiego.“

---

### Per aspera ad astra.

Kiedyś, gdy znajdzie się dziejopis naszej walki o szkołę polską na Kresach, pozna szersza publiczność szczegóły tych zabiegów, starań, przeszkód... aby uruchomić szkołę polską w t. zw. Korytarzu Grabskiego, w tym przez wojnę tak srodze wyniszczonym obszarze nad Dźwiną, gdzie przytem wpływy rusyfikacyjne przetrwały aż do ostatnich czasów! \*)

Należąc pod względem geograficznym do Ziemi Witebskiej stanowi obecnie Dżisna najbardziej eksponowaną osadę typu miejskiego na naszym północnym wschodzie. Położenie takie, które sprzęgało ją z większemi środowiskami życia rosyjskiego (zwłaszcza Petersburgiem), straszliwa gospodarka „Wieszateliów, Von Kaufmanów, siewców oświaty w stylu Kornilowa, obniżyły po r. 63 nie tylko poziom kulturalny, ale, co było tu istotnym celem, osłabiło polskość niezmiernie.

Do r. 1900 Dżisna nie posiada ani jednej szkoły średniej. Pierwszy zakład tego typu—to progimnazjum Barbary Dmitryjewoj i Wiery Liszynoj, zwi-

---

\*) Głos Narodu, 22 kwietnia 1922 r. Artykuł p. F. D. (Fryderyka Dąbrowskiego).

nięte po dwu latach niezbyt szczęśliwego żywota w r. 1902. W r. 1908 i 1909 istnieje nowe gimnazjum (również rosyjskie) niejakej Pelagji Nowickiej w składzie I—IV klas. Upada ono zarówno dla braku środków jak i słabej frekwencji. O kreowaniu jakiegokolwiek szkoły polskiej w tych czasach niema wogóle mowy. Dopiero od r. 1906 powstaje tajna szkółka początkowa polska w domu p. Suarskiej (jako zakład rzemieślniczy). Dzieci tu uczęszczające uczyły się czytać i pisać po polsku, poczem dopiero zapisywały się do szkoły powszechnej rosyjskiej. Zdarzyło się w tej szkole w międzyczasie wielce charakterystyczne zajście. Oto, gdy nauczycielka Rosjanka chciała Polki zapisać w rubryce narodowości „białoruskiej“, postawiły one temu zamierzeniu stanowczy opór, oznajmiając, że wolą raczej utopić się w Dźwinie niż zaprzeć się swej narodowości. Naogół, ani nastanie ery konstytucyjnej w Rosji i upadek absolutyzmu, ani pierwsze lata wojny, nie przynoszą zmiany w systemie „obrusienja“ „iskoni russkawo kraju“. (jak zresztą w całej wileńszczyźnie).

W r. 1917 tworzy się z funduszków Komitetu Organizacyjnego, który powstał z inicjatywy obywatela m. Dżisny, p. Rusieckiego, gimnazjum prywatne z językiem wykładowym rosyjskim (i polskim jako przedmiotem obowiązkowym (?) ) lepiej postawione i nieźle uposażone w środki naukowe. Dzieje się to w momencie, gdy opadają pęta, a szkoła narodowa polska może już rozwijać pracę i na dzisiejszym gruncie. To też w roku 1918, w czasie okupacji niemieckiej, powstaje w składzie 3 niższych klas progimnazjum polskie, utrzymywane, ażeby uniknąć presji ogółu rosyjskiego (nie rządu) przez Towarzystwo Dobroczynności. Szkoła ta opiera swój plan nauczania na programie dostarczonym przez prof. Kościatkowskiego w Wilnie, a dyrektorem jej zostaje p. Burkhard. Najście bolszewików i wypadki wojenne sprowadzają upadek i tego zakładu. Szkoła rosyjska zostaje sama, a preponderacja jej w życiu umysłowym zubożałego i zniszczonego pożogą wojny miasta zdaje się być jakgdyby na czas dłuższy utrwaloną.

To też momentem zwrotnym, rzec można, przełomowym na gruncie ciągle stojącej pod znakiem pytania kwestji szkolnej nad Dźwiną, staje się powołanie w r. sz. 1921—22 do życia gimnazjum państwowego przez Ministerstwo WR i OP. Przeciętny ogół znał już żołnierza polskiego, posługiwał się łamaną polszczyzną w miejscowym urzędzie, ale gimnazjum z „prawami“—polskie—to bądź co bądź rzecz nowa i esobliwa... Nikt w to nie chciał uwierzyć.. Jakkolwiek Komitet Organizacyjny czynnym nie jest, rozpoczyna niejako automatycznie, bez porozumienia się z odpowiednią władzą szkolną, Dyrekcja gimnazjum prywatnego naukę i to wyłącznie w języku rosyjskim w r. sz. 1920/21. Kiedy miejscowe czynniki wojskowe, interwenjując, zwracają uwagę na brak nauki języka polskiego, powołuje Dyrektor w charakterze nauczycieli tego przedmiotu dwóch wojskowych i p. Rymdzionkową. Z nich ta ostatnia utrzymuje się w składzie do końca r. sz., a liczba godzin języka polskiego, początkowo dostateczna, stopniowo się uszczupla na rzecz innych przedmiotów (języków).

Przyjazd na wiosnę r. 1921 D-ra Wasunga, Delegata Ministerstwa WR i OP, był dla Dżisny niespodzianką... Po zbadaniu podstaw prawnych istnienia miejscowego zakładu, stwierdził p. Delegat, że nauka języka polskiego nie jest braną, zbyt poważnie i nie cieszy się należytyym wymiarem godzin. Podczas inspekcji wyraził, skierowane do ogółu uczniów, życzenie, by w następnym r. szk. zrobili bardziej widoczne postępy w nauce języka polskiego, poczem po spisaniu inwentarza i środków naukowych oddał takowe pod opiekę p. Truszyńskiego celem przekazania ich Dyrektorowi nowopowołanego do życia gimnazjum państwowego w Dziśnie...

Gdy po odjeździe Delegata długo nie nadchodziły do Dżisny wiadomości o nowej szkole średniej, zwykła powojenna apatja i troska o „dzisiaj“, zacierać zaczęły w umysłach dziśnieńskiej Polonji wiarę w ryehle jej uruchomienic. Od jednostek mniej przychylnych słyszało się stereotypowo powtarzane zdanie, że „nasz dyrektor o niczem nie wie, o niczem nie otrzymał informacji“.

Sensacją więc chwili staje się znowu dla Dżisny przyjazd mianowanego przez Ministerstwo Kierownika Gimnazjum państwowego dnia 10 września 1921 r., wypadkiem niemiłym dla osób, które nie zwykły były ufać byle pogłosce, byie zapowiedzi... Ale fakt jest zawsze faktem i należy się doń przystosować, zając pewne stanowisko. Interesuje się tem zdarzeniem już i radca „dworjaństwa“ i inni. Et... co tam?... „Jaki tam Dyrektor?“—, „Czy ma też oz. przynajmniej ukończone gimnazjum?“ (naturalnie rosyjskie). „Co? doprawdy?! ma nawet uniwersytet i Doktorat?... Hm...— „Tak-to-tak“... „Ale cóż on właściwie sam zrobi?... jak przyjechał, tak i pojedzie“. Na tem tle ustala się opinja (kolportowana skrzętnie wśród ludności żydowskiej), że w ostateczności może powstać jedna „polska“ klasa.

W tej atmosferze plotki, sarkazmu, fałszywych pogłosek, rozsiewanych celem dezorientowania rodziców, pierwsze dni pracy nad uruchomieniem zakładu nie należały do przyjemnych...

Na martwym punkcie stanęła sprawa przejęcia inwentarza szkolnego i udostępnienia budynku, gdyż kierownik gimnazjum prywatnego zasłonił się brakiem specjalnych pełnomocnictw... Pomieszczenie Kancelajji „Dyrekcji“ g. państw stanowią dwie małe, brudne izdebki — jej urządzenie: para krzeseł, stare złamane biurko, 2 puste szafy i lustro „fryzjerskie“. Zupełny brak druków, ksiąg, nawet papieru do pisania, co więcej — brak zupełny zainteresowania się ze strony miejscowej władzy autonomicznej. Zwycięża jednak — jak zwykły zawsze zwyciężać — zdrowy instykt ogółu; do 3 klas niższych zapisuje się przeszło 100 kandydatów; trzeba za wszelką cenę umożliwić przy jak najskromniejszym nakładzie sił i środków korzystanie z nauki licznej rzeszy adeptów. Moralne poparcie ogółu polskiego, nadesłane z Kuratorjum pełnomocnictwa, na mocy których nastąpiło ostateczne objęcie inwen-

tarza szkolnego, pozwalają Dyrekcji nowego zakładu uruchomić zajęcia w klasach niższych z dniem 24 września, z dniem 30 października otworzyć (przy uproszczonym wymiarze godzin co prawda!) klasę IV-tą, gdzie normalna nauka zacząć się dopiero mogła w listopadzie po przyjeździe nauczyciela matematyki i przyrody. Nareszcie po ostatecznym skompletowaniu grona nauczycielskiego został z pocz. II półroczu otwarty jeden oddział klasy II (B). W miarę nastawiania normalnych warunków pracy, rosło zaufanie ogółu do naszych poczynań, utrwalała się wiara w żywotność instytucji. Skrzętna, pełna pieczołowitości pomoc, z jaką śpieszy rodzinnej szkole miejscowy Komitet Rodzicielski, ujmujać w swe ręce przedewszystkiem akcję dożywiania młodzieży, ścisła współpraca Rady Pedagogicznej z kierownikiem, zawsze oparta na szczerem, wzajemnem zaufaniu i wspólnej o dobro zakładu trosce, wreszcie, co wielce ułatwiało zadanie, dobre zachowanie się ogółu młodzieży, pomfnej zawsze udzielanych sobie rad, nauk i wskazówek, pilnej i czynnej w znacznej większości — oto były okoliczności, które z końcem roku szkolnego stały się jak gdyby zadośćuczynieniem moralnem za przeciwieństwa dni pierwszych.

31 maja, gimnazjum podległe dotąd władzy Kuratorjum Okręgu Szkolnego Nowogródzkiego, przeszło pod zarząd Okręgu Wileńskiego.

Z okazji opuszczenia przez się stanowiska Delegata Ministra WR i OP, przesłał p. Dr. Wasung dnia 15 maja (L. 2778) pismo pod adresem Dyrektora Zakładu, w którym w słowach gorących pożegnał go, życząc „jaknajpiękniejszych rezultatów dalszej pracy“. Te słowa uznania dzieli Dyrekcja ze swymi towarzyszami, z tymi w danym wypadku osobiwie, którzy niebaczni na przestrogi ludzi wygodnych, zasiedziały na swych pieleszach domowych, w pełni „poczucia obowiązku względem odradzającej się ojczyzny“, przyszli jako pierwsi pionierzy, by na dawnych szlakach Batorego budować nowy szaniec.. Czyż mamy wątpić, że wielki i wzniosły cel, przyświecający naszym skromnym poczynaniom, zjedna nam wkrótce nietylko przyjaciół, ale i nowy zastęp wiernych towarzyszy pracy i że praca ta przyniesie bóжны owoc na ziemi, która dała Polsce Chodkiewiczów, Kościuszkę i.. Mickiewicza?!

Per aspera ad astra!..

**Dr. Tadeusz Staniewski**

(Sprawozdanie gimnazjalne).

## Bóg literatury

(DOKOŃCZENIE).

Obojętność nasza wobec kultury chińskiej jest zadziwiająca. Mur chiński warkocz chiński, laka chińska i figurka Buddy oto wszystko, co wiemy zazwyczaj o tym wielomiljonowym narodzie

A jednak.. Wina Chin jest widoczna wobec Europy.

Nie my oddzieliliśmy się od nich, lecz oni od nas. Ale i w tem Chiny się nie pomyliły, bo zabór i zaborczość Europy niema granic, gdy raz łapą stanie na starożytnych ziemiach Azji, czy Afryki. Kończy się zawsze rabunkiem, okradaniem bogactw Wschodu — pod płaszczykiem nauki i muzealności. Przyczyny obojętności naszej i ignorancji szukać u Europejczyka należy w tem, że Chiny daleko leżą i nie mamy łączności umysłowej z nimi.

Oprócz warunków geograficznych istnieją przyczyny historyczne: Europa nie prowadziła wojny z Chinami, wojen krzyżowych nie kierowała do państwa Srodka. Stąd Palestynę lepiej się zna, aniżeli Chiny.

Na naukę Konfucjusza nie było nigdy miejsca w Europie. Prędzej pisało się o Turkach i Tatarach, nigdy o Konfucjonizmie. Chyba specjaliści dla fachowców.

Zewnętrzne znamiona podchodzą pod krąg naszego widzenia i fantazji: plantacje ryżu, jedwab chiński, herbata, porcelana i laka chińska. Prawda, na ucho rozpowiada się o—żółtem niebezpieczeństwie. To prawie wszystko. Mało. Chinologia jest dotąd dziewiczym terenem nauki polskiej.

A przecież ten starożytny (dla nas pogański) naród ma cztery tysiące lat literatury za sobą. Przetrwał potop, wędrówki ludów, podbój Arabów, rozmaite zabory, mongolskie, portugalskie, angielskie, wytrzymał próbę rewolucji bolszewickiej — i żyje, rozwija się—jako republika.

Chiny nie są zgrzybiałym, zidjociałym starcem, którego należy dobić, bo jest za stary, by żyć. Nie, od Chin możemy się wielu rzeczy nauczyć np.: pracowitości i dokładności. Chociażby tyle. Ale jest dziedzina sztuki, przemysłu i literatury ponadto. Wreszcie nauka o państwowości

i obowiązkach obywatelskich.

Epokowym wydarzeniem i nieszczęściem dla Chin był rok 1540 t.j. przybycie pierwszych Europejczyków do południowych Chin. W Makao usadawiają się Portugalczycy i są tam do dziś dnia. Od r. 1616 rozpoczynają się napały Mandżurów, Nurhaczi zdobywa Koreę, w 1644—Pekin. Dynastia Tsing czyli Czysta rozszerza Chiny po źródła Tarymu, aż po Himalaje. Podwalinami Chin wstrząsa Europa. W roku 1840 Anglja zacoфанą militarnie rasę chińską teroryzuje armatami, zatruwa nikczemnie kolportowaniem opjum, wywozi posażki Buddy. Za Anglją poszła Francja. Oba państwa wymuszają na Chinach olbrzymie koncesje. Pod błahym pozorem oba państwa zajmują Pekin, gdy Chiny bronią się przed gośćmi drapieżnymi. W r. 1895 Japonja zajmuje Koreę, wzorując się na Europie. Gdy lud zrozpaczony takim najazdem na ich ojczyznę powstaje przeciw Europejczykom, w r. 1900 zorganizowano krucjatę przeciw Chinom. Rosjanom dano wolną rękę, by zajęli bogatą Mandżurję. W roku 1911 Tsing abdykuje, powstaje republika, jako twór europejski, zupełnie niezrozumiały dla prawowitego Chińczyka.

Oto wymowne dowody dlaczego Chińczycy przeklinają cywilizację europejską.

A teraz kim są Chińczycy? Lubią dużo i dobrze pisać.

Alfabet mają obrazkowy, malują pojęcia, np. miłość oznacza w piśmie chińskim chłopca i dziewczynę, wsehód wyrażony jest słońcem, nisko za drzewami. Wyrazy są niezmiennie, jednosylabowe, dlatego pismo ideograficzne, a nie fonograficzne.

Najstarsze pomniki pochodzą (doszły nas) z 22-18 wieku przed Chrystusem. Są to napisy na naczyniach bronzowych i na kościach. Najstarsze księgi są: Księga Dokumentów, księga Pieśni, ciekawa niezwykle księga Zmian, Zwyczaje i obyczaje za dyn Czou, księga wód i gór. Tam panuje wszechwładnie duch starożytnych Chin.

Naturalnie to wszystko powstało przed pojawieniem się Konfucjusza czyli Kieng—tsego, czyli mistrza Kieng-fu-tsego (554—479).

Księgi te dowodzą, że starożytni Chińczycy umieli



wyrażać uczucia duszy, tak jak my dziś. Szi—King dają zbiór 305 utworów poetyckich w 4 księgach.

Są to wiersze proste, szczere, wymowne, rymowane, z rytmem, czasem dworskie, rytualne, polityczne, moralizujące. W Chinach był zwyczaj od niepamiętnych czasów zapisywania najcelniejszych pieśni.

I zachowałyby się mnogo ksiąg, miliony, miliony do słownie tomów, gdyby nie pamiętny rok 213.

W tym roku na rozkaz Pierwszego żółtego władcy, radykalnego reformatora, Tsina, spalono wszystko, co w Chinach było napisane.

Bolszewickie metody były znane przed Chrystusem—na 200 lat.

Najważniejszym jest dla naszego tematu okres filozoficzny. Chińczyka nigdy nie interesował wszechświat, ale człowiek. Celem zaś człowieka—by poznał siebie samego. Co potem Sokrates wznowił w Grecji — w Chinach było hasło popularne na 600 lat przed Chrystusem. Ale dla Chińczyka nie jest człowiek oderwaną jednostką, ale w łączności z rodziną i państwem. Wszędzie brzmi nuta społeczno—polityczna, patriotyczna.

Pierwszy filozof jest Lao-tse. Zniechęcił się do kultury ludzkiej, pohańbionej przez samego człowieka, chce widzieć człowieka dobrego w połączeniu z Tao, z ideałem, wiodącym do doskonałości. Natura ludzka jest dobra, człowiek tylko błędzi, a zjawiska ostrzegają: kometa, zaćmienie słońca. Doskonałość, tłumaczy Stary Mistrz, jest celem człowieka, który mędrkując oddalił się od Nieba. Nie należy samemu nic działać, ale łącznie, najściślej z Cnotą. Im dalej Boga, nieba, cnoty—tem z cywilizacją gorzej. Zasada ta dobrze jest znana Europie — po wojnie światowej, gdy ludzkość stała się polem trupów.

Konfucjusz—z małego państewka Lu—też był nauczycielem swego narodu. Jako historyk pokochał tradycję, wraca myślą do rządów pierwszych cesarzy.

Doradza kult przodków i miłość starych obrzędów. Jest znawcą małego człowieka ulicy i tłumu. Wie, że co trudne—to niestrawne. Co oderwane—to niejasne.

Chce by nie jakość, ale ilość była uczciwa, chce milionów, nie wybranych jednostek. Słowem Konfucjusz jest wzorem pedagogii etycznej. Uczyć umiał moralności, przeznaczonej dla mas. I w tem leży genialność demokratycznej nauki. Tego niema żadna religja. Zawsze tajemnice dogmatu utrudniają zrozumienie nauki Mistrza. Tego szczęśliwie Chińczyk nie znał nigdy. Pojęcie życia pozagrobowego jest pojęciem oderwanem, ludowi obcem, bo nikt nie umie siebie widzieć poza grobem, jako bezcielesnego ducha. Chińczyk nie bałamuci głowy rzeczą nierozwiązalną samą w sobie, jak np. chrześcijanin.

Na pytanie uczniów, co będzie po śmierci realista Konfucjusz rozumnie mówi:

**„Nie wiesz jeszcze co to jest życie, jakże chcesz wiedzieć co to jest śmierć?“. Dlatego Konfucjusz jest fenomenem. To pierwszy, którego zrozumiał cały naród, a to wiele znaczy. To nie utopizm.**

W tem tkwi tajemnica Chin. Po Babilonji nie zostało ani śladu, po Egipcie też. Młodogrecy i Włosi niczem nie przypominają przodków.

Odpowiedź prosta. Tam była religja pejzażem ładnym, ale nie strawą dla masy. Moralność była w pięknie oderwanej utopji, lub monumentach bez krwi i życia.

Tu moralność weszła w krew tłumu. Tu niema talmudystyki, tu wszystko: jasne, proste, ludzkie-nie nadludzkie!

Stąd drugi wniosek: tylko w Chinach są grafomani w dodatkiem znaczeniu. Lubi naród pisać, bo mu dano pióro do ręki, nie zamknięto tajemnicy, bo Chiny tajemnicy nie znają.

Dlatego tylko tam mógł powstać dosłownie Bóg literatury.

**Orientalista.**



## Wieś na kresach wschodnich

(dokończenie)

### IV Dzień powszedni.

Dzień powszedni na wsi—to zupełna głusza, żadnej rozrywki a tylko praca. Spędzenie dnia wiele zależy od jego pogody i od pory roku. Dzień pogodny—wszystkich czeka praca, czy to w polu, czy przy gospodarstwie. W dżdżysty dzień pracuje tylko gospodyni, która bez względu na pogodę i porę roku, zawsze musi spełniać swe codzienne, monotonne czynności. Gospodarz spędza taki dzień leżąc na piecu i zazwyczaj kurząc machorę; dzieci bawią się. Rodzaj pracy, jak już wspomniałem, wiele zależy od pory roku. Zimą pracy jest najmniej, a wiosną i jesienią najwięcej.

### V Dzień świąteczny.

Dzień świąteczny przynosi dla ludzi jakąś rozrywkę. Najbanalniejszą z nich jest pójście do sąsiadów, czyli „na siano“, by tu zazwyczaj plotkować. Oprócz tego są urządzone „Wieczorynki“, czyli zabawy taneczne; wesela i inne uroczystości rodzinne dostarczają wiele rozrywek, ale takie uroczystości nie są częste. Wiele atrakcyj przynoszą, o ile można tak nazwać, rozrywki sezonowe, jak urządzenie nocy świętojańskiej, dożynki z tradycyjną „babą“, zrobioną z żyta i ubraną w kwiaty, oraz tym podobne.

### VI K u l t u r a.

Do czasu powstania Polski, wieś nasza, tak i pod względem kultury duchowej, jak i materialnej stała bardzo nisko. Taki przeciętny chłop umiał może tylko pacierz i modlitwę za cara—batuszkie. Szkoły były tylko przy gminach, i te złe, bo przecież uświadomienie narodu groziło runięciem absolutyzmu, runięciem tronu satrapów i łbów koronowanych.

Ówczesną kulturę materialną doskonale charakteryzuje życie wiejskie, wielka nędza i podział ziemi na małe kawałki, t. zw. „sznury“. Każdy chłop, by uprawiać swą rolę, musiał jeździć, względnie chodzić z pola na pole, od jednego „sznura“ do drugiego, a że takie rozdrobnienie ziemi nie pozwalało na dobrą uprawę, więc też panowała powszechnie nędza. Dziś Rząd nasz robi, co może. Człowiek wiejski—analfabeta, to człowiek ze starszego pokolenia. Zcalenie gruntów i robienie oddzielnych

kolonij, czyli „futorów“, czyni gospodarzy niezależnymi od gromady (uzależnienie gospodarza od gromady jest złem, o tem przekonał się, patrząc na t. zw. kolektywizację u naszych sąsiadów — Bolszewików) i daje im możność gospodarowania samodzielnie. Przez kilkanaście lat niepodległości, państwo polskie, jeśli wziąć pod uwagę stosunki przedwojenne i zniszczenie, towarzyszące odzyskaniu niepodległości, bardzo, bardzo wiele zrobiło dla naszej wsi i coraz więcej robi.

*J. Olechno.*



## Wolna trybuna literacka

### Wrogowie Mickiewicza

(na marginesie sensacji p. Boya)

Prasa polska wszelkich odcieni zajęła się sprawą śmierci Mickiewicza. Zrodziły się, wysunięte przez p. Boya — Żeleńskiego trzy domysły: albo umarł na cholere, albo był zatruty, albo został otruty.

Jakkolwiek ta sprawa tyczy się szczegółu biograficznego a nie literackiego, krytyka i ogół miłośników piśmiennictwa poruszony był tą tajemniczą sprawą. Dotąd obracamy się w świecie domysłów, niedopowiedzeń, plotek mówionych sobie przez uczonych i nieuczonych „na ucho“. Nas ten szczegół mało obchodzi, i tak nie wpłynie ta sprawa na rozwiązanie literacko—krytycznej zagadki, kim miał być mąż 44.

Ale co innego interesuje, czy Mickiewicz dziś przez cały naród czczony i uważany jednogłośnie za wieszczą i genjusza—był za życia, przez współczesnych powszechnie kochany, uwielbiany i na piedestale nietykalności stawiany. Jeżeli miał wrogów—to jakich i kiedy, i dlaczego?

To już jest nie tak obojętne, jak sam fakt sposobu umierania czy zamierania wśród Turków, w Konstantynopolu.

Jako romantyk—poeta miał Mickiewicz wrogów w obozie pseudoklasyków warszawskich i wileńskich. To zrozumiałe, bo

walka starych z młodymi była zawsze zjawiskiem normalnem w rozwoju kierunków literackich.

Jako wygnaniec — wallenrodysta miał wrogów Mickiewicz, w obozie zachowawczo — klerykalnym, bo nie chciano widzieć „tragedji“ niewolnika.

Okres popowstaniowy w twórczości Mickiewicza już budził pewne zastrzeżenia u powstańców, którym podejrzenie wyglądała nieobecność poety na placu boju. Dowodem tego wiersz Maurycego Gosławskiego „do Adama Mickiewicza, bawiącego w Rzymie podczas wojny narodowej“, gdzie czytamy:

„Jeśli padniem pod gruzami wieszczuł wtedy w dniach boleści nie wart grobu dzielić z nami — kto nie dzielił krwi i cześci“.

Do pewnego stopnia rehabilitował więźnia z celi bazyljańskiej rok 1823 i dał temu wyraz exwięzień z czasów Nowosilcowa w „Dziadach“ drezdeńskich. Ale szczytem „Dziadów“ nie jest cela więzienna, ale mistycyzm wieszczącego patrioty w rozmowie sam na sam z Bogiem, z przykucniętym Szatanem „na uboczu“. Szczytem natchnienia to walka o rząd dusz w imię milionów pokonanych rodaków w walce o prawa ludzkie i boskie z „moskwiczną“. Mąż zaś apokaliptyczny o trzech obliczach, niby trzygłów pogańsko—słowiański miał być alfa i omega patrzenia i widzenia „na odległość“, w przyszłość, przesłoniętą dla maluczkich i niewtajemniczonych kotarą niejasności, alegorycznej materjalizacji niby zjawy w celi rozmodlonego braciszka zakonnego. Tu już nieporozumienie. Czytelnik każdy woli mieć wszystko jak „na dłoni“, a cóż dopiero Polak, który nie lubi parać się z duchami, marami, widmami, symbolami i cyframi dla wtajemniczonych. Przykładem może służyć tak opacznie odsądzony od czci i wiary „ze swym absolutem“ — Hocne — Wroński.

Polak lubi z mazurskim temperamentem szablę, ułana, miód kasztelański i soczystość jasnego i obrazowego przedstawiania pól, lasów, batalistyki. Polak lubi gawędę, pamiątniki „silva rerum“, heraldyczne wyciągi i drzewa genealogiczne. Dlatego „Pan Tadeusz“ stał się biblią narodu w niewoli, tam było zwierciadło człowieka poczciwego z codzienną jego logiką obywatela z zaścianku, skrojonego nie na miarę Fidjasza, ale szlachezca kontuszowego z szablą u pasa. To „nasze“! „Dziady“ były ukochane przez przyja-

ciół wileńskich, bo dla Mazura pogaństwo tkwiące w duchach — powrotnikach z zaświata było ciężkostrawne. Cóż dopiero dla żołnierza, rzuconego z pola walki na emigrację. Zrozumiał to szybko Mickiewicz, pisząc biblijnym stylem dla prostaczków „księgi pielgrzymstwa“. Ale biblijność i alegoryczność zniechęcała ludzi, nie była krwią z krwi naszej. Nic dziwnego, że dopiero „epos narodowe“ postawiło na nogi sławę i wziętość „pana Adama“. Mylił by się ten, kto by sądził, że Litwa była chętnie widziana u Mazura, Mazur wolał Koronę. A epos w dwóch zaściankach mazurskich na Litwie nie było „ideałem“. Nie widziano samego Napoleona, nadto matrony, matki—Spartanki, obywatelki. Były dziwne Polki: naiwna i zalotna. I tę dziwność kresowca, upartego Litwina wytykano Mickiewiczowi, mówiąc, że jego epos i „jego“ ojczyzna wzięta jest chyba z szarego końca, nie od głowy, nie od „Korony“.

Dziś to nam bliskie, zrozumiałe, niemal z mlekiem matki przekazane, wtenczas nawet Mickiewicz był czytany z komentarzami i z rezerwą. Cicho siedzieli wrogowie ukryci, dopiero „Trybuna ludów“ i towiańszczyzna zalała emigrantom „sadła za skórę“ i „pana Adama“ chciała, w ich mniemaniu zapędziła nawet w „kozi róg“.

Mistyki Mickiewiczowi nie darowano za odszczepieństwo, i tu sobie Mickiewicz naraził obóz „katolicki“, t. zw. rzymczyków; znalazł się wieszcz na indeksie książek zakazanych, za dzieło: „O kościele chrześcijańskim“. Oburzenie rosło, kiedy okazało się, że M. jako dziennikarz głosi doktrynę sesimonistów, pisze o fa-lausterach, fourjeryźmie, komunie paryskiej, ba, nazywa się jawnie „socjalistą“ i trzyma z Żydami i nawraca do kultu Jehowy i nakazuje dzień po dniu czytać księgę wyjścia Izraela z Egiptu.

Tego już było dosyć wszystkim obozom razem na emigracji, nawet... przyjaciółom Mickiewicza.

Norwid pisze po śmierci poety—wieszczą do Lenartowicza, mówiącego Włochom we Florencji o Mickiewicz:u:

„Dzieckiem jesteś, jeżeli uważasz Mickiewicza za patriotę“.

Opinię taką urabiali głównie narodowi demokraci i katolicy (czyli rzymczyki).

(iks.)



# Moc nieznaną

(Powieść-ciąg dalszy.)

## Rozdział XI

Ominąwszy miasto, skierował się boczna przez pola drogą i wszedł do alei grabowej, wiodącej do dworu. Wprawdzie zdecydował był śmiało udać się do pałacu, jednak już w alei zwolnił kroku, a serce mu jak młot biło kowalski. Cóż dopiero gdy wszedł już do parku!- Szkoda, że to już tak blisko-pomyślał. Zdaleka miał więcej odwagi. Obszedł pałac dookoła. Najgorsza chwila - to wejście, no i pierwsze spotkanie. Ale z kim, sam nie wie jeszcze. Oto już przy samym głównym stoi budynku... Lecz nie, nie wejdzie jeszcze. Poczekaj... Obszedł znów pałac dookoła... Żywej duszy. Słońce miało się już ku zachodowi. Leciuchno szumiały drzewa, jak rozedrgane struny dalekiej harfy, zaklęty symbol czujności natury. Cały kalejdoskop różnokształtnych i ciągle zmieniających się cieni listnych, wibrował na ścieżkach i drogach parku. Niemilkące ptaszyny podtrzymywały wielotonną melodię wśród akompanjamentu poszumu liści. Powietrze, przesycone wonią kwiatów otaczających dookoła trawniki, upajało wszechwładnie!... Naraz z tego stanu bezwładności, czy zakłopotania wyrwały Witolda dźwięki fortepianu płynące z otwartych okien pierwszego piętra. Sonata Beethovena... Kulturalna dusza Witolda, wykształcona na bogactwie przeżyć życiowych, które nie złamały go a raczej podniosły, jak to widać było, choćby z silnego postanowienia wzięcia się za bary z życiem, mimo, że ten właśnie owego dnia nastreczył był mu złowrogie fatum, -- była niezwykle czuła na wloty duchowe, przejawiające się we wszelkim artyźmie. Duchowa struktura, zaprawiona w bólu i cierpieniu swoim, była jak najczulsza membrana fotograficzna, wrażliwa nie tylko na ból, ale i na wszelkie drgania uczuciowe otoczenia. Stąd też śpiew i muzyka, jako ekspozycja uczuć ludzkich, była jakgdyby syntezą, jakby odzwierciedleniem skomplikowanej psychiki Witolda. Dlatego też-- zamarł wśród tonów cudownej Sonaty, przeżywając ostatnie wypadki życiowe. Ból i cierpienie to jakby religja jego lat ostatnich, rwały mu serce na strzępy. Rozpamiętywając tę swoją gehennę, oparty o drzewo nie zauważył posuwającej się wolno główną aleją, a widocznie również w pięknie muzyki pograżonej, postaci. Tylko odgłos kroków zbudził nagle Witolda z zamyślenia, jakby wstrząsnął całym jego jestestwem...

O kilkanaście kroków od niego stała młoda dziewczyna, lat może osiemnastu. W białym, okrywającym ramiona i na plecach zapiętym fartuchu. Witold uczynił kilka kroków naprzód. Spojrzeli po sobie. Nie znać było na niej lęku żadnego. Jakby spodziewała się była go tu spotkać. Usta nieco rozchylone, snać chciała coś mówić, zamarły w milczeniu. Na tyle jeszcze zachodzące słońce zachowało światła, że mógł wyraźnie Witold przyjrzeć się jej blademu obliczu, blademu tą pociągającą świeżością, jaką tylko białe cierplarniane, wśród okalającego chłodu i smutku róże mieć mogą! A oczy... Spojrzała nań tym bezmiarem morza, w którym całą duszę przejrzeć można! I taki jakiś smutek gościł w tym błękanie, taka jakaś skarga duszy rozlewnym hymnem przebijająca w spojrzeniu, że bezwiednie żal mu się jej zrobiło i poczuł w sobie jakby nie wiążącą go z tą istotą, on, którego religią było cierpienie i ból ludzki!... Opuściła gęstą rzęsą obramowane powieki i pierzchnęło miłe zjawisko. — Chcę dostać się do pałacu — rzekł, zdejmując czapkę uprzejmie — Czy nie zachciałaby mi wskazać pani, którądy?

Jakby wiedząc, kim jest, po co i do kogo przychodzi, bez żadnego zdziwienia, ani pytania, cicho, a melodyjnie i słodko brzmiącym głosem, wyszeptala. — Proszę iść za mną!...

Uporczywie grzmiały teraz „forte“ tony Sonaty. Witold nie słyszał czy co mówiła, lecz ściskając w ręce swoją czapkę, sunął się raczej, niż szedł obok niej, oniesmiały od dziwnego wrażenia tylko myślał: Kim zaś jest?!...

Weszli w pałacowe podwoje i znaleźli się w dużym hallu. Na ścianach liczne trofea myśliwskie, broń dawna, oraz zbroja rycerska. Dwa białe wychudłe charty leżały spokojnie na dużym dywanie. Witold zdjął palto, wieszając nieśmiało. Zatrzymała się i obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem. Co za cudowne smutne oczy! Weszli na wschody, co się ku gorze ślimakiem pięły, a skrzywienie po całym zda się pałacu rozległe. Znaleźli się w obrzymiej sali, z której na wszystkie strony drzwi wiodły.

— Kogo mam oznajmić—wyrzekła tym samym spojrzaw-



szy nań wzrokiem.

— Witold Wędrowski — wahająco się odrzekł.

Znikła w drzwiach z lewej strony. Witold pozostał sam. Ściany zawieszono były różnemi obrazami i portretami, prawdopodobnie autenatów Komorowskich. Jeden, na który padało światło, szczególnie zwracał jego uwagę.

Przedstawiał pięknego mężczyznę w wieku dojrzałym, z dużemi, czarnemi brwiami, nosem orlim, z ustami przy mknieniem silnie, bo aż warga dolna na górną zachodziła, z oczami przenikliwie w widza utkwionemi. Gdyby nie ten nos i wargi, rzekłbyś: Anna Wędrowska!

— Wujaszek Joachim — pomyślał Witold.

Innych obrazów wobec półmroku już panującego w sali dokładnie rozróżnić nie mógł. Przez szpary drzwi, w których przewodniczka zniknęła, zauważył teraz światło w pokoju. Za chwilę otworzyły się drzwi i wysunęła się z jasno oświetlonego pokoju postać jego nieznannej.

— Pani prosi! — wyrzekła i skryła się w drzwiach przeciwnych.

## Rozdział XII.

W gabinecie koło biurka twarzą do wejścia na bujającym się fotelu siedziała kobieta lat 50 liczyć mogąca, nerwowo obracając w palcach szyldkretowe lorgnon. Ciągły uśmiech na jej twarzy dziwnie nie kojarzył się z nerwowym, jakby wystraszonym i przebiegle biegającym przenikliwym wzrokiem, można powiedzieć, że czynił niemiły zgrzyt na tle sprzecznych sobie okoliczności.

— Jestem synem Anny z Komorowskich Wędrowskiej, rodem z Komorowa! — rzekł kłaniając się nisko i poważnie Witold. Jak gdyby chcąc ukryć wspomniany wyraz oczu, ratując błakający się dziwnie na obliczu uśmiech, przytknęła lorgnon swe do oczu.

— Tak i myślałam, gdy mi pana, Ciebie-poprawiła się — oznajmiono.

— Nazywaj mnie swoją wujenką, zbliż się tu i usiądź serdecznie!

— Ś. P. Joachim Komorowski, a nieodżałowanej pamięci mąż mój, wspominał Twą matkę przed śmiercią.

— Więc to umarł Wujaszek! — chwytając się biurka zajęczał Witold. Nie słyszał co dalej wujenka mówiła.

Upadł ciężko na fotel, zawirowało mu w oczach różnemi kolorami: umarł, umarł, umarł!...

A w uszach zadzwoniło na pogrzeb tą pieśnią smętną i straszną ponad obłoki, hen do Boga wzniesioną!...

To była jednocześnie skarga jego duszy wśród szarych oparów życia zrodzona... Bo dziwnie się to mu jakoś w tem życiu składało... Przypomniawszy sobie sen swój dzisiejszy... A to dzisiejsze spotkanie dziwne i dziwne tutaj przyjęcie. Powitała go śmierć u wejścia dziwnie... Wspomniawszy... „Doświadczenia mu los srogi nada imię ciągłej drogi-Podróżnego lub Przybysza!“... Ciągłe jest podróżnym i z miejsca do miejsca wędruje! A w uszach mu huczało: Wędrowski, Wędrowski, Wędrowski! W głowę mu się natrętne pytania wtłaczało:

Dokąd teraz? Dokąd teraz? Dokąd?

Jakby w odpowiedzi na to stanął nad nim siwy lokaj.

— Idź serdecznie z Szymonem, on Ci pokaże Twój pokój, gdzie będziesz mógł spocząć po podróży. Idź!

— Dziękuję Wujence — wyszeptał, wstając.

Dała mu rękę do ucałowania. Chwiejąc się prawie, wyszedł z Szymonem.

Ciemno już było w wielkiej sali, przez którą przechodzić musieli. Witold zachwiał się i gdyby go lokaj w porę nie powstrzymał, upadłby niezawodnie.

— Proszę mocno mnie ująć, Paniczu! — rzekł i podał mu ramię. Weszli w drzwi przeciwległe i skierowali się długim korytarzem, następnie schodami na dół, gdzie znów drugim korytarzem do wyznaczonego Witoldowi pokoju.

Widocznie ktoś był tu w tej chwili, bo jeszcze słyhać było szybkie i drobne kroki kogoś odchodzącego. Weszli. Uderzyło ich oślepiające światło, silna reakcja po przebytej ciemności. W niewielkim pokoju było już przygotowane

i czysto posłane łóżko. Na stoliku bukiet świeżej zieleni, a wśród niej cudowne, aromatem swym cały napełniające pokój, białe róże. Wspomniał dzisiejszą swą nieznajomą.

— Proszę spocząć, Paniczu—rzekł Szymon.

Nie usiadł, lecz upadł raczej Witold do dużego, głębokiego fotelu, gdzie rzeczywiście świetnie można było spocząć.

Szymon stał pogrążony w obliczu „panicza“. Nic nie mówili.

Beznadziejne milczenie, jakaś niesamowita cisza, a tak przenikliwa i głośna, że wszędzie jej było pełno.

Wreszcie nie wytrzymał Szymon i łkaniem wybuchł, strasznie takiem, jak tylko starzec będący nad grobem łkać może, starzec, który wszystko już widział i byle czem się nie przejmuje! Łzy jak groch, łzy serdeczne i wielkie popyły się po jego starczej pocziwej twarzy!

Witold zerwał się i objął rękami twarz Szymonową.

—Co Tobie, Szymon?! Co?!

—Paniczu, paniczu!—płakał, jak dziecko Szymon, cisnąc do ust ręce Witolda! A jemu samemu łzy gorące, łzy bólu i cierpienia ludzkiego polały się na ręce Szymona.

I tak stali: ten starzec i młodzian... I znów milczenie, przerywane wstrząsem cierpienia, zaległo w pokoju...

— Czy znasz mnie, Szymonie, czy znasz? spytał Witold.

— Czy znam?!... A toć to panicza twarz to cała fotografia panienki Anuty, którą na rękach nosilem! Dobrej, kochanej panienki! Oj tyle już lat, tyle!!

Widocznie już ciężko jej jest biedacze, jeżeli tu panicza przysłała! — kiwał smutnie Szymon głową.

— Umarła! — jakby się wahając czy można temu starcowi mówić — wyszeptał Witold.

Szymon drgnął, chwycił powietrze i jęknął, trzymając oburącz Witolda, poczem zgarbiwszy się, jakby mu drugie tyle lat przybyło i jakby niechcąc cierpienia swego okazać Witoldowi, wysunął się w milczeniu z pokoju.

# \* R Y B A K \*

(nowela)

(DOKOŃCZENIE.)

Eljaszowi—po rozmowie z panienką—zdawało się, że doznał objawienia. O czym z nią rozmawiał, nie umiałby dziś powiedzieć. Dość, że taką chwilę miał w życiu.

Widział anioła przed sobą, który kładzie pocałunek na czole niewinnego chłopca. Chłopskie serce czuło jasno, że szczęście weszło do chaty rybaka.

Z czym? jak mara, co ludzi. Poco? Jak sen, co z blaskiem dnia ginie. Co powiedziała? Co ona mogła powiedzieć, ona, panienska ze dworu...?

Zamyślił się Eljasz. Zdawało mu się, że się nad nim lituje, że ma słowo pociechy. Lecz on nie czuł upokorzenia, nawet litość, płynąca z jej gołębiego serca była ukojeniem. Cierpiał i płakał jeno.

Noce miewał bezsenne. Coś okrażało go, coś straszło. Raz czuł zimną dłoń na skroniach. Innym razem jakieś więzy krępowały szyję. To znów jęk jeziora słyszał, szum płaczącej brzeziny. Znaki na ścianie zostawały przez kilka godzin, znaki świetliste. Zrywał się wtenczas Eljasz z tapczanu. Okrywał nagie ciało starym płaszczem, biegł boso wokół jeziora, a księżycowa smuga więcej jeszcze niepokoiła seledynem jego strwożone sumienie.

— Czem ja mogłem zawinić — pytał siebie bezradny rybak.

— Ja jej stróż, pies, uwiązany na łańcuchu miłości. Ja jej cień, jej marny, bezwolny cień.

Łkało w nim wszystko, drżał, jak przebudzone nagle dziecko. Smutne oczy patrzyły w pustkę jeziora. Świat się zapadł w falach. Dłonie niewidzialnej martwicy wyciągały drapieżne palce, by go wchłonać. Jak skowyt psa—jęczało w pustej chatce, jeno stara matka spała snem spracowanej.

Pochylił się Eljasz nad śpiącą, ucałował gołe jej nogi i nakrył płachtą podartą, by nie drżała z zimna. Pognął

nad brzeg jeziora. Łódka zadrżała, wiosła uderzyły taflę wody, dwie snugi rozstępującej się wody niosły na kręgach swych roje złotych muszek.

Nagle usłyszał z drugiego brzegu głos ostry, ochryply, złowrogi. Zdało się Eljaszowi, że śmierć mu grozi kosą. Ocucił się.

— Kto wy ?

— Eljasz.

— Jesteście rybakiem ?

— Ano, juści

— A pan czego chceta ?

Żandarm uśmiecił się.

— A znacie panienkę ze dworu ?

— A ino — mruknął wyzywająco Eljasz, a serce mu dziwnie biło, waliło młotem.

— Eljasz, zawieziecie mnie łodzią na drugi brzeg, tam wysiądę i pójdę do dworu. Mamy tego ptaszka w łapie. Nie wymknie się nam. Może przy jej boku, ha, ha... będzie ciepły jeszcze...

Eljasz dalszych słów nie słyszał, głuchy był, jak uderzony siekierą w głowę. Nie mógł opanować złości.

Czuł, że jego panienkę ze dworu obrażono. Czyby ona ze zbrodniarzem miała romans ? Nic nie mógł Eljasz pojąć. Czuł, że wybiła godzina porachunków. Z kim ? Z niewinnym żandarmem ? Nie. Z losem, z niedolą chłopca z sercem... Ze zwinnością żbika rzucił się Eljasz na żandarma.

Walka była śmiertelna. Głosy ludzkie zmieszały się z pluskiem tonącej łodzi rybaka.

— Jezu ! . . .

— Panienko, hej ! Uciekać ze dworu . . .

— T o n ę . . .

— Giń... charknął Eljasz, pehając całą siłą żandarma w toń ciemnego jeziora.—Giń— psie... za mą panienkę.. za jej krzywdę.

Ostatnie słowa doleciały do parku, gdzie siedziała samotna panienska. Biegła na pomoc. Nie rozumiała. Tylko poznała głos, zapadającego się pod taflę wody rybaka.

— Eljasz — usłyszał jej głos, jakby na znak wiecznej rozłąki.

— Panienko moja — jęknął z pod fali. Rybak z łodzią

poszedł na dno wody.

We dworze tymczasem zaszły wielkie zmiany. Jakby Czarna Moc rozpostarła skrzydła nad starymi murami pałacu. Panienska dworska zerwała z rodziną, uciekła i wstąpiła do klasztoru Karmelitanek Bosych.

Pędziła żywot ascetki. Wpatrzona w Mękę Chrystusa szła śladem Jego męki, słyszała Jego konanie. Ciało jej było stygmatyzowane. Nad głową widniała nocami poświata złota. Przełożona klasztoru uważała panienkę w habitach za świętą. Śmierć miała łagodną. Na łożu wyznała, że śmierć rybaka była dla niej wezwaniem w zaświaty.

Na śmierć nagłą zdobyć się nie mogła, wołała obrać klasztorne, powolne konanie. Panicz uciekł za granicę. Lud jezioro w pobliżu zabudowań dworskich nazwał od-tąd: topielą miłości.

**Piotr Pupin (kl. VII)**

## Igraszka losu

(szkic do powieści)

(c. d.)

Pan Juljusz z Bobowa Jaksza Strączkowski był zamożnym ziemianinem, którego przodkowie w 17 wieku przyjechali z okolic Warszawy, wędrując na Kresy. Wieś pana Jaksy była dobrze zagospodarowana, dzięki jednostce dzielnej, mającej zdolności organizacyjne. Na wsi istniała od lat wielu fabryka cukru, ponadto kilka parowych młynów, wytwórnia serów, rentowna spółdzielnia ziemiańska.. Człowiekiem tym, na którego głowie była całkowita odpowiedzialność za te imprezy przemysłowe w Czubkach był Ryszard Rehman, małopolanin, z Niemców spolszczonych. Natomiast dziedzic żył, jak królik dzielnicowy na Kresach. Kolekcjonował rzadkie książki, skupował holenderskich malarzy do galerji obrazów, miał prześliczny park z marmurowymi posągami, barokową fontannę na modłę angielską — klomby, skrzypka włoskiego, Francuza, piszącego szumne madrygały sceniczne, Niemca — ogrodnika i służbę czeską.

Na tle wsi, chłopa prawosławnego i bizantyńskiej cerkwi dwór z zabudowaniami był dziwną oazą zdyktu i sztuczną komedją, niby symbol Wersalu, przeniesionego na błota pińskie.

— Kapryśną dłonią, rzucone złoto na gnoisko. Paradoks historyczny, mawiał Rehman, wzruszając ramionami.

W oczach oszczędnego Niemca było to tylko jednym wielkim nieporozumieniem. Bajką udramatyzowaną pod tytułem: *Warjat i żebrak...* Czems poronionem w założeniu polskiego DON KICHOTA, co walkę podjął z wiatrakami.

Obecnie wieś zgłodniała. Rehman umarł. Plebanja z unickim księdzem skurczyła się. Książki i malowidła hordy bolszewickie splądrowały, zamczyło w gruzach społeczeństwo.

Ostała jedynie barokowa fontanna. Dziedzic mocno zdziczał a dwór przeobraził się w rzeczpospolitą niby — babińczyków XX wieku z kultem „Białego słonia“.

— Głupstwo, bankructwo, ruina — mawiał pan Jaksa, czytając Biblię. A czytał, jak dewociarz i degenerat, który minął się z życiem, bawiąc się w mecenasostwo — stał się trupem w gablotce psychiatry.

Na plebanji żyła od lat wielu czcigodna postać unity Gregulewicza, rusina starej daty, śpiewającego stale szumki Padury, Gorczyńskiego; romantyk społeczny i demokrat.

Córka jego, Halszka kochała całą duszą kraj ojczysty, gorliwą była Polką, chcąc widzieć idealny dwór z idealnym dziedzicem.

Wszystko temu przeczyło. Pan Jaksa tetryczał i stawał się melancholikiem, gospodarka była podpsem, ludzie pod wyzyskiem uginali się, nieufność chłopa rosła. Chłop pił samogonkę. Agitacja wywrotowa brała górę...

Tymczasem chłop się rozpijał, nikt z odczytami nie przyjeżdżał, tylko dwór przeistaczał się w jaskinię zabobonu i wstecznictwa.

— Ojczy, dokąd idziemy. Jak długo tak będzie? — wylekzionym głosem pytała Halszka swego ojca.

Gregulowicz zapadał w fotelu, wciskając głowę w kark, jakby wizja rzeczywistości stanęła jak śmierć przed nim.

— Czekajmy, córko, Bóg się zmiłuje i rozsądek ludziom przywróci.

Lecz sam nie widział ani zarania cudu. Rehmana brakło, dwór pokrył się chwastem cmentarnym. Sowy huczały, trzepocąc skrzydłami w pustej cukrowni.

Ale nocami gadano z duchami we dworze i notowano rozmowy z ciałami astralnymi. Raz wywołano na seansie Woltera, innym razem Rasputina, to znów babkę rodu Jaksów, ciotkę Eufrozyne, lokaja Müllera, no i Lenina ale ten ostatni zaciął się i ani pary z ust nie puścił. Powiadali złośliwi, że przestraszył się nocnego naczynia panny Teofili, chorującej, jak wiadomo, na kamienie żółciowe.

Przeszłość Jaksy — Strączkowskiego była mocno burzliwa. Był ożeniony z tancerką baletu francuskiego, miał z nią jedyne dziecko, wątłe, nie rokujące długiego życia.

— Co mi pozostało? — mawiał do unity dziedzic.

— Wspomnienie — mówił znacząco Gregulowicz.

— I lzy.

— Pozostaje jednak ktoś-to człowiek żywy, to chłop, co patrzy na pańskie czoło wyniosłe — i czeka na decyzję, na hart i pracę,

— Eh, skończyło się wszystko z Rehmanem. Ja już człowiek zgrany,

— A wiara? A idea? A Polska.... — cicho szeptał unita.... — a praca naszych dziadów.... a bałogi z rąk biskupa Siemaszki.... nic, to nie?

Drżąca ręka księdza przesuwiała się po poręczu fotelu i zaciskała się pięść z bólu..

Halszka z niebiańskim wyglądem cyganki — z koralami na szyi — patrzyła ostro na Jakcę.

Był w oczach jej ból, jęk, rozpacz drażnionego lwa.

Milczała, nie śmiać narażać sobie starego dziedzica.

Nagle — otworzyły się drzwi i wpadł do salonu z hałasem mały chłopczyzna. Była to znajda, uratowana cudem, hodowana od roku sztucznie,

Mały z loczkami Oleś wstrząsał główką jasną, stojąc przed starcem złamanym. Był już zdrowym bachorem. Nie mógł obojęt-



nym być ten obrazek księdzu, bo trzymając chustkę fularową w dłoni, parsknął śmiechem, niby kichając.

— A bodajgo, jaki on czypurny, a bodajgo..! — Śmiał się i Jaksza klepał po łopatkach chłopaczka.

— A ty wiesz, że nie wchodzi się do mego pokoju bez pukania-warknął surowy dziedzic.

Lecz chłopak przymilając się, rozumiał, że nie jest sobą, czuł, chociaż mały, że pan go z litości przygarnął.

Był psiaczkiem pańskim. Czuł, że jego rówieśni mówią chlebobdawcy-słodko — ojezuku.

On, wyprostowany mówił zaledwie: panie.. lub panie hrabio, Halszka pocałowała w główkę małego i wyprowadziła go z salonu. Nie mogła upokorzenia znieść dłużej.

Wiedziała, że los, ratując mu życie — nie dał słońca i miłości.. małemu Olesiowi.

Słońca i serca... a zresztą życie się zmienia, może i Oleś stanie się szczęśliwym.

(Koniec - części.)

**Andzilewko M. (kl. V)**

---

## Odpowiedzi Redakcji.

**Magnuszewicz A.:** Nie umieścimy, bo poco nam jakieś podania irlandzkie, prosimy o podania i legendy tutejsze.

**Cytowioz L.:** Dziękujemy — parę wierszy w przyszłości umieścimy.



# KALENDARZ REPORTERA

1. IX. Nabożeństwo rozpoczynające rok szkolny, odprawił ks. prefekt S. Małachowski.
2. IX. Nabożeństwo żałobne za duszę św. p. Michaliny Mościckiej, małżonki Pana Prezydenta (zmarła 18. VIII w Spale)
3. IX. Wystawienie przez Koło Dramatyczne Oddziału Związku Strzeleckiego w Dziśnie „Gwiazdy Syberji“ hr. Starzeńskiego.
10. IX. Na zakończenie tygodnia L. O. P. P.-u dla uczni gimnazjum wygłosił odczyt p. pr. Z. Giergowich.
13. IX. Na terenie zakładu bawił znany profesor - psycholog p. Jaksza Bykowski. Przeprowadzał on badania psychologiczne nad uczniami klasy VIII i na zakończenie pobytu swego wygłosił dla klas VIII i VII odczyt z dziedziny psychologii.
- 23, 24, 25. IX. Święta Tekla-uroczystość parafjalna [czterdziestogodzinne nabożeństwo]. Młodzież szkolna katolicka przystąpiła do spowiedzi i komunji św. Były urządzone różne festyny. Uroczystość zgromadzała w ciągu trzech dni tłumy wiernych. Wystawiono poraz drugi „Gwiazdę Syberji“. Dochód przeznaczono na studentów U. S. B. wychowanków naszego gimnazjum. Oprócz studentów zjechali się inni wychowankowie gimnazjum na t. zw. „Zjazd wychowanków Gimn. im. ks. Grzegorza Piramowicza w Dziśnie“.

Z dniem 24. IX. staraniem „Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet“ urządzono wieczór literacki z nast. programem:

1. „Moja pieśń wieczorna“ J. Kasprowicza. Recytacja p. H. Staniewskiej.
2. „Hymny religijne“ Kasprowicza. Odczyt wygłoszony przez p. A. B. Cypsa.

Dochód przeznaczono na istniejące dzięki pracy K o ł a, przedszkole.

27. IX. Wycieczka młodzieży gimnazjalnej do pobliskiego lasu.



Opiekun pisma: prof. ALEKSANDER BOLESŁAW CYPS.  
Redaktor naczelny: JAN HUSZCZO, ucz. kl VII.  
Zastępca redaktora: MILECJUSZ ANDZILEWKO, ucz. kl VI.  
Komitet redakcyjny: WŁODZIMIERZ OSKIERKO (kl. VII),  
KONSTANTY OSKIERKO (kl.VI) i DYMITR KASATY (kl.IV).  
WYDAWCA: MŁODZIEŻ GIMNAZJALNA w Dziśnie.

**KSIĘGARNIA  
POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ  
w DZIŚNIE.**

zaopatruje młodzież szkolną w podręczniki szkolne, oraz ma na składzie rozmaite materiały piśmienne.

Tamże do nabycia „NASZ GŁOS“

Administracja „NASZEGO GŁOSU“  
sprzedaje n-ry pisemka z roku szk.  
1931/32.

==!SWÓJ DO SWEGO PO SWOJE!==

Kupuj tylko w „SAMOPOMOCY“  
(Rynek, Dom Ludowy).

Czytajcie i rozpowszechniajcie

„NASZ GŁOS“